

Małgorzata Liścińska

# TROPICIEL



*Michałowi i Małgosi*

## SPIS TREŚCI

WILCZYCA	4
PRZEBUDZENIE MAGII	34
PANTOFELKI	55
SMOCZE GODY	87
MORSKI KRÓL	118
OŚLA SKÓRKA	143
LUSTERECZKO	176
DZIEWCZYŃKA	213
MRO CZNY OKRUCH	248
NIE MÓW NIGDY	288
OLBRZYMY	318

# I

## Wilczyca

Donośny łomot w drzwi ponownie wstrząsnął komnatą. Tym razem dziewczyna lekko uniosła powieki, ale nie zmieniła rytmu. Unosiła się i opadała nieskończenie powoli, do granic wytrzymałości przedłużając każdą chwilę rozkoszy. Odchyliła głowę tak, że długie rude włosy pieściły nie tylko jej pośladki, ale i uda mężczyzny. Spojrzenie stłumione przyjemnością przesunęło się po twarzy kochanka.

– Nie przestawaj – powiedział spokojnie. Chwyciwszy włosy kobiety, lekkim szarpnięciem przyciągnął jej twarz ku swojej i niespiesznie pocałował rozchylone wargi. – Nie przestawaj – powtórzył łagodnie. Dziewczyna zamknęła oczy, przyspieszając tempo. Na moment jej oddech gwałtownie się spłycił, a mięśnie zadrżały w zapowiedzi nadchodzącego spełnienia. Chwila jednak minęła, a spełnienie nie nadeszło, więc piękne ciało wróciło do powolnego rytmu.

Kolejne uderzenia zatrzęśły wejściem.

– Panie Yasa! Ruszcie dupę! Sprawę mam! – rozległ się wrzask, a po nim kolejne łomotanie. – Panie Yasa!

Mężczyzna westchnął. Wsunął długie mocne palce w czerwone loki kochanki, przesunął opuszkami wzdłuż jej ramion, później pleców, wreszcie mocno uchwycił biodra i błyskawicznie zamienił role.

– Panie Yasa!

Rude włosy rozlały się lawą na białej poduszce. Mag uwolnił czar. Żar błyskawicznie stopił w jedno dwa splecione ciała. Połyskujący złotem i czerwienią płomień uniósł się ku powale, by po chwili rozpaść się na tysiące błyszczących kropeł. Każda z nich drżała, nabierając światła. Coraz jaśniej i jaśniej. Szelest oddechów przeszedł w melodię jęków i gwałtownych westchnień. Wreszcie, przy akompaniamencie wysokiego zaśpiewu, oślepiający blask rozjaśnił komnatę.

Dziewczyna oddychała ciężko, a jej szczupłe ciało wciąż dygotało, wstrząsane spazmami zaspokojenia, gdy mężczyzna wstał z łoża. Nie spojrział na kochankę, nie zadał sobie też trudu, by ją okryć. Sam również nie zamierzał się ubierać. Nagi podszedł do drzwi, otworzył je i z niechęcią popatrzył na gościa.

– Cóż jest tak pilne, drogi Yudherthardere? – zapytał chłodno.

Krasnolud nie wyglądał na wystraszonego. Może na trochę zaniepokojonego, ale na wystraszonego na pewno nie. Przechylił głowę i spojrział do wnętrza komnaty.

– Znowu? – zapytał z mieszaniną podziwu i niesmaku.  
– Od pięciu dni ino ruchacie i ruchacie. Dziewek braknie w okolicy albo, co gorsza, złapiecie jakiegoś syfa i nawet te wasze nieśmiertelne klejnoty szlag trafi. Mnie się po dwóch dniach znudziło, a wy z wyra nie wychodzicie.

– Gwoli ścisłości, dość często wychodzę – uśmiechnął się mag.

– Aż, kurwa, nie chodzi mnie o to, gdzie to robicie. Wiem, żeście w czarach sprawni, to bym się i nie zdziwił, jakbyście chędożyli u powały. Po tym waszym krzywym uśmiechu widzę, że rację mam. Tylko co za dużo...

– I po to mi przerwaliście, żeby mnie pouczać?

– Tam zaraz pouczać. Nie moja to sprawa, gdzie swój drąg wsadzacie. Znaczy trochę moja, bo mi wasza pomoc zdać się może, a jak dalej będziecie się sami ze sobą ścigać w ruchaniu, to się tej pomocy nie doczekam.

Czarodziej spojrział na krasnoluda ponuro.

– Może ja nie chcę wam tej pomocy udzielić?

– Chcecie, nie chcecie, gównu mnie to obchodzi. – Sodi Yudherthardere wzruszył ramionami. – Uratowałem wam dupę, jesteście moim dłużnikiem. A jak dotąd długu żeście nie spłacili. Królowka wciąż ma magiczne glejty i nawet, niech ją osioł w legowisko ciągnie, pierdnąć bez jej zgody nie mogę. A że mnie cholera nienawidzi, to ze służby zwolnić nie chce.

– Przyszliście mi powiedzieć to, co już i tak wiem?

– Nie, przyszedłem, bo mnie szacowna królowa w Ciemne Lasy wysyła. Jakiś problem w tamtejszych wioskach mają i pani se umyśliła, że ja go rozwiążę.

– A wam się zachciało zabrać mnie z sobą? Tylko po co? Krasnolud wzruszył ramionami.

– Może do towarzystwa. Tak mam, że nie lubię sam przez lasy się przedzierać, a i gębę wołę otwierać nie tylko do mojego konia. No i chcę mieć was na oku. Teraz, jak do Zakonnej należycie... Nie chciałbym się Kobie-

cie Tradycji narażać. W sumie nie wiem, ale możecie się przydać, kto wie? A macie coś lepszego do roboty? – Zerknął bez zażenowania na nagą dziewczynę.

Mag poszedł za jego spojrzeniem. Rudowłosa spała z rozchyłonymi ustami, mlecznobiałą skórę wciąż znaczył rumieniec spełnienia, a sutki krągłych piersi sterczały ściągnięte ostatnim spazmem rozkoszy.

Westchnął.

– Ano chyba nie.

Sodi odetchnął z ulgą.

– Wyruszymy z rana. Muszę się przespać, a i wy pewnie chcecie odpocząć, nie?

– Dobranoc, Yudherthardere. – Czarodziej zamknął drzwi, pozostawiając za nimi krasnoluda.

Potem podszedł do łóżka.

– Pod powałą? Hmmm... – Uśmiechnął się i zakłębieniem obudził dziewczynę.

\*\*\*

Noc nadeszła za wcześnie. Ciemność zjawiała się znikąd, okryła okolicę czarnym płaszczem, mrokiem zamalowała kontury, hebanowym tuszem wcisnęła się między drzewa. Niczym szalony malarz zmasała obraz tworzony przez dzień, barwiąc go na jeden, tylko jeden mroczny, jednolity nieprzenikniony kolor. Noc. I cisza. Jakby cała wieś nagle wymarła. Domy pogrążone w ciemności u wrót lasu, okryte płaszczem nocy, zdawały się być opuszczone. W żadnym oknie nie płonęło światło, nawet najmniejszy kaganek nie rozświetlał

mroku. I żaden dźwięk jej nie przerywał. Zdawać się mogło, że cała wieś nagle wstrzymała oddech, a może nawet całkiem go straciła. Tak głęboka była to cisza. Nie było rozmów, nie było nawet drżącego bicia serca. Cała wioska umilkła.

Cała wioska...

W jednym z domów na obrzeżach siedliska ktoś lekko uchylił drzwi. Wyrzała zza nich pucułowata męska twarz, a rozbiegane spojrzenie próbowało dojrzeć coś przez zasłonę nocy. Bezskutecznie. Mimo to jednak, mimo ciszy i ciemności, niewysoki mężczyzna wyszedł z domu. Namiętność mu śpiewała. Pożądanie tańczyło w żyłach. Nie słyszał ciszy, tylko muzykę pragnień. Wyszedł więc na zewnątrz, zamknął oczy i, prowadzony słodką melodią, ruszył do lasu.

\*\*\*

Nikt z kłócej się czwórki nie zauważył wejścia gości. Mężczyźni wrzeszczeli jeden przez drugiego. Dopiero odgłos policzka błyskawicznie uciszył kłótnię. Głowa najwyższego z młodzieńców odskoczyła, a pozostali dwaj zamilkli w jednej chwili, ze zdumieniem patrząc na potężnego mężczyznę, który zadał cios. Ten zaś, siwiejący na skroniach, z brzuchem wylewającym się ponad ozdobnym pasem ze skóry fryńskiego bazyliuszka, gwałtownie poczerwieniał. Nalane, obwisłe policzki napęczniały, usta zacisnęły się, a pociemniałe gniewem, przekrwione oczy niemal wyskoczyły z oczodołów.



– Nie będzie, kurwa, żadnej dyskusji, gówniarzu! – wrzasnął tłuscioch. – Zrobicie, co wam każę!

Żaden z chłopców nawet nie mruknął. Wystraszeni, najwyraźniej nienawykli do takich wybuchów, wgapiali się w oblicze krzyczącego.

– Jak wam, kurwa, mówiłem, nie tykać, mieliście, kurwa, nie tykać! – pieklił się grubas. – Trociny macie w tych pustych łbach?!

Yasa chrząknął lekko, chcąc przerwać tyradę, ale mężczyzna wpadł już w furję i nic nie mogło go powstrzymać. Krzyczał coraz głośniejsze, a jego słowa zlewały się w nieznośny bełkot. Mag uniósł lekko brwi, ale nim zdołał rzucić zamierzony czar, towarzyszący mu krasnolud otworzył drzwi i trzasnął nimi tak, że zadrżały w posadach.

– Dzień dobry, kurwa mać! – ryknął, przekrzykując wrzaski grubasa.

Mężczyzna zamilkł w pół słowa, z rozwartymi ustami gapiąc się na gości.

– Wójta szukamy. Wyście to? – zapytał niegrzecznie Sodi.

Tłuscioch rozsunął młodzieńców i, minąwszy ich, spojrzął na niską sylwetkę krasnoluda, a potem, specjalnie go ignorując, przeniósł wzrok na drugiego z przybyłych. Oszacował szybko odzienie młodzieńca – jedwabną koszulę haftowaną złotą nicią i kurtkę ze smoczej skóry, i uznał, że każda z nich kosztowała wielokrotnie więcej niż pas, na który wydał dwumiesięczny dochód z dzierżaw. Oczywiście zauważył też cenne odzienie krasnoluda, ale nie lubił kurdupli z wielką gębą, więc grzecznie uśmiechnął się tylko do drugiego z gości.

– Jestem Gorde, wójt Jofty. – Ukłonił się lekko. Niby grzecznie, ale z wyraźną wyższością. – A wy kim jesteście?

Zignorowany Sodi poczerwieniał. Czego jak czego, ale bycia ignorowanym Yudherthardere wyjątkowo nie lubił. Zaraz zaczynał się zaperzać, oddechu zaczynało mu brakować, a wściekłość ino czekała, żeby zatańczyć stukanego toporkiem na czyimś łbie.

– Jestem Yudherthardere, barani łbie – odpowiedział podniesionym już głosem. – Tropiciel na usługach Krasnoludzkiej Rady i twojej królowej.

Gorde bardzo by chciał dalej udawać, że krasnoluda nie widzi, ale usłyszawszy jego imię, poczuł naraz taką mieszankę emocji, że prawie zlał się w gacie. Wyższość zniknęła w jednej chwili, a jej miejsce zastąpiła nieprzebrana jowialność, czysta słodycz i miłość bezwzględna, zaprawiona jednakowoż sporą dawką niepokoju, że nie rozpoznał posłańca swej pani. Miał jednak roztrząsać ewentualne następstwa owej pomyłki, skupił się na plusach i, odwróciwszy się do Tropiciela, rozłożył ramiona i serdecznie objął zdumionego małego lorda.

– Panie Yudherthardere! – zakrzyknął, a w jego głosie pobrzmiwało już tylko uwielbienie. – Nareszcie! Największy królewski Tropiciel! Tacyśmy wdzięczni! Tacy wdzięczni! Zaszczyt to wielki! Ogromny zaszczyt!

Yudherthardere rozwarł usta. Tak bardzo był zaskoczony nagłą zmianą w zachowaniu gospodarza, że brakło mu słów. Nieporadnie uwolnił się z wójtowych objęć i zerknął pytająco na z trudem panującego nad śmiechem towarzysza.

– Eeeee – zaczął mało elokwentnie – też się cieszę... znaczy się... Przestańcie się już we mnie tak wgapiać jak w urodziwą młódkę, bo se jeszcze coś dziwnego chłopaki pomyślą.

Wójt spojrzął na młodzieńców, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o ich istnieniu.

– A tak. Synowie moi. Rozumu toto za grosz, ale młode jeszcze, może z czasem... Znaczy duma moja...

– Taaa... no, żeśmy słyszeli, jaka to chluba wasza – przerwał mu Sodi. – Obaj z ...

– Przyjacielem – przerwał mu Yasa, patrząc przenikliwie w krasnoludzkie oczy.

– Właśnie – kontynuował Yudherthardere, zrozumiawszy aluzję – obaj zauważyliśmy, jak dumniście są z owocu waszych lędźwi, ale nie przybyliśmy oceniać waszych efektów wychowawczych. Królowej doniesiono, że jakiś problem tu macie. Prawda li to?

Grubas rzucił szybkie spojrzenie synom. Młodzieńcy błyskawicznie pospuszczali głowy, a potem wyszli jeden po drugim. Ich ojciec tymczasem opadł ciężko na szeroką ławę, wskazując gościom miejsce obok siebie. Począł, aż usiądą, i dopiero wtedy odpowiedział:

– Coś nam chłopaków morduje.

– To znaczy? – Krasnolud zmarszczył brwi.

– Coś w lesie. Już czterech.

– Słuchajcie, Gorde, ja tam wiele mam przeróżnych zalet, ale w myślach czytać nie umiem. Może tak po kolei opowiecie?

Wójt westchnął ciężko.

– No to tak było: jakiś czas temu młody Zyrke polazł w nocy do lasu. Nasze chłopaki raczej tego nie robią. Różne rzeczy w tych lasach już się działy, więc nikt w nocy doń nie wchodzi, a już w pojedynkę... Nikt, nigdy. A Zyrke poszedł. I dwa dni później znaleźli go, jak poszli drzewa narznać. Znaczy to, co z niego zostało, a nie było tego dużo. Najpierw żeśmy myśleli, że to jakiś dziki zwierz, chociaż to, jak poraniony był... no, dziwne było. Przykazaliśmy wszystkim, żeby po zmroku z domów nie wychodzili, a i w dzień tylko z bronią i w kilku, i jeśli już do lasu mus, to żeby nie za głęboko... Kilka dni spokój był, a potem Kop się gdzieś zapodział. Znaleźli go, jak poprzedniego. Potem był Jato, a wczoraj Prym. Każdy w nocy z domu wyszedł, chociaż wiedzieli, że nie wolno. Coś ich tam ściągnęło. Coś...

Sodi spojrział na Yasę. Mag przymknął powieki i wydawał się nie słuchać. Poirytowany krasnolud zacisnął wielkie jak bochny chleba łapy.

– Wiecie, nie chcę bynajmniej waszemu wyczuciu magii przeczyć, ale chłopaki mogli na schadzki chodzić i rzeczywiście jakiś niedźwiedź czy wilk mógł...

– Nie może to być. Żadna szanująca się panna nie poszłaby w las po nocy.

– Się upierać przy szanującej nie zamierzam – mruknął figlarnie Yudherthardere.

– Nie, panie, to dziwna jakaś moc... może strzyga czy wilkołak.. W taką noc coś się dzieje z wioską, czarny duch nas nawiedza, cisza jakaś taka, mrok taki. Strasznie jest... Zobaczycie. No i jeszcze te rany! Ostatni dwaj to już tylko dwie rany mieli... tylko te...

– Mówiliście, że wczoraj ostatni zginął? – zapytał leniwym głosem milczący dotąd Yasa.

– Tak, panie. Rano żeśmy go znaleźli.

– Gdzie jest ciało?

– W domu. Znaczy w jego domu. Ojce mu pomarli zeszłej zimy. Sam mieszkał. Zanieśliśmy ciało do domu, kobiety go obmywają i do pogrzebu sposobią.

– Zaprowadźcie nas.

Wójt wstał. Sodi tymczasem skrzywił się i spojrzał na maga.

– Chodźcie – rzucił Yasa, a krasnolud posłuchał bez wahania.

W domu, na obrzeżach osady, głośno zawodziły wioskowe płaczki, przygotowując ducha do przejścia w lepsze światy. Tłoczyły się w małej chatce i tuż przed nią, rozdzierając szaty i płacząc donośnie. Gorde rozsunął je mało delikatnie, robiąc miejsce dla gości.

W jedynej izbie, na stole, leżało ciało. Niewysoki i najwyraźniej otyły nieboszyk okryty był prześcieradłami aż po brodę. Ponad okryciem tłusta i niezbyt urodziwa twarz zastygła w grymasie przerażenia.

Yudherthardere, który dotąd szedł, mamrocząc pod nosem, zatrzymał się gwałtownie. Sparaliżowały go wrzeszczące zmysły Tropiciela. Szarpały, piekły, rwały, płonąc węzowymi ścieżkami w głębi umysłu, wypalały bolesne linie pod czaszką krasnoluda. Tak dotkliwie, jak gdyby ktoś rozcinał mu skórę aż do kości. Zmrużył oczy, z trudem łapiąc oddech. Atak był tym boleśniejszy, że niespodziewany. Minęła dłuższa chwila, nim Sodi zdołał nad nim zapanować, mamrocząc ochronne zaklęcia.

Potem z niejakim wyrzutem spojrzął na Yasę. Coś mu mówiło, że mag wiedział. Wiedział już w chwili kiedy zażyczył sobie odwiedzin u nieboszczyka. Mógł go uprzedzić. Mógł... ale Pierwotny rządził się swoimi prawami. Teraz też nawet nie spojrzął na krasnoluda i podszedł prosto do mar. Sodi był pewien, że mag tak samo jak on wyczuł potężną moc w tym domu.

Czarodziej długo przyglądał się twarzy trupa, jakby czekał, aż ta coś mu powie. Wreszcie spojrzął na towarzysza.

– Chodźcie tu.

Sodi się zawahał. Skoro w progu uderzyła go taka fala, bliskość ciała będzie jeszcze boleśniejsza. Pierwotnemu Magowi jednak się nie odmawia. Spełnił polecenie. Nie było intensywniejszych doznań, a jedynie chłód. Yasa chronił ich przed magią.

– Pewnie chcecie zobaczyć, jak go załatwiło, prawda? – Nie czekając na odpowiedź, wójt ściągnął prześcieradło.

Jakaś kobieta, zapewne jedna z tych, które nie przygotowywały zwłok, zaczęła krzyżeć. Sodi zaś poczuł, jak przewracają mu się trzewia.

– Kurwa, dobrze, że nie jedliśmy nic od śniadania – wymamrotał cicho.

Nie zrobiła na nim takiego wrażenia rana w miejscu, gdzie młodzieniec miał kiedyś gardło. Ziała tam potężna dziura, wyszarpana aż po wystający z zastygłej już krwawej masy kręgosłup. Nie, to nie targnęło jego pustym na szczęście żołądkiem. Zrobiła to wielka za-

krzepła wyrwa w miejscu, gdzie trup powinien mieć przyrodzenie.

\*\*\*

W gospodzie zamiast gwaru rozmów panowała dziwnie napięta cisza. Mężczyźni z ponurymi wyrazami twarzy wpatrywali się w kufle piwa. Gdziekolwiek słychać było ciche szepty, ale i te umilkły, gdy do środka wszedł wójt i jego goście. Milczący klienci unieśli głowy, a kilkanaście par oczu wpatrzyło się z nadzieją w słynnego królewskiego Tropiciela. Od wielu dni Gorde obiecywał im jego przyjazd, wychwalał pod niebiosa umiejętności i wciąż powtarzał, że to rozwiąże ich problemy. A przynajmniej ten jeden problem.

Wójt poprowadził przyjezdnych do największego stołu, tuż przy palenisku. Siedzieli tam co prawda dwaj miejscowi, ale wystarczyło jedno spojrzenie Gordego, by błyskawicznie się przenieśli.

– Bywaj tu! – wrzasnął grubas.

Z zaplecza wybiegła szczupła dziewczyna. Drobna i ładna, nie wyglądała na więcej niż piętnaście lat. Dygnęła przed wójtem, potem przed krasnoludem, a na końcu przed Yasą. Na żadnego z nich nie podniosła wzroku.

– Przyniesz no gulaszu i wina. Goście są głodni. A migiem!

– Tak, panie. – Ledwie usłyszeli cichą odpowiedź, a dziewczęcia już nie było.

– Skaranie z tymi dziewczuchami. Głupie toto jeszcze bardziej niż moje chłopaki. Tylko do jednego się nada-

je. – Obłeśny uśmiech wypłynął na pucułowatą gębę. – Ta co prawda jeszcze trochę płaska, ale za rok, może dwa... No, chyba że któryś z wielmożnych panów takie lubi... Gościom niczego nie żałujemy.

Sodi spojrział za dziewczątkiem, a potem zmierzył wójta lodowatym wzrokiem.

– Nie zwykłem z dziećmi się pokładać.

– Wasza wola. A wy, panie?

Oblicze Yasy pozbawione było jakichkolwiek emocji.

– Dam wam znać – odrzekł chłodno.

Sodi zmarszczył brwi, ale nie skomentował. Zamiast tego ponownie zwrócił się do Gordego.

– Powiedźcie, wszyscy tak byli okaleczeni?

– Wszyscy. Pierwszych dwóch bardziej, ale każdy bez jaj.

– Coś ich łączyło?

– To znaczy? – Wójt podrapał się po rzednącej czuprynie.

– W jakim byli wieku?

– No, nie wiem tak dokładnie. Młodzi byli. Z moimi gówniarzami dorastali. Razem się bawili, razem na ryby chodzili, razem panny do szopy ciągal. To mała wieś jest, panie...

Sodi spojrział na towarzysza. Ten, oparty o ścianę, przymknął oczy i wydawał się spać.

– A dni? Kiedy to się stało? – kontynuował więc krasnolud.

– Czekajcie... nie pamiętam... Pomyśleć muszę...

W tej samej chwili wróciła służka, niosąc wino i kubki. Rozstawiła je szybko, nie patrząc na siedzących, ale



jej przybycie wyrwało maga ze snu. Podniósł ciężkie powieki i przyglądał się gestom dziewczyny. Kiedy zaś jej ręka lekko zadrżała, tak że dzban niebezpiecznie się przechylił, mag błyskawicznie złapał naczynie, muskając przy tym skórę służki.

– Dziękuję, panie – wyszeptała i po raz pierwszy podniosła wzrok.

Niebieskie tęczęwki błyszcząły czysto i niewinnie. Yasa uśmiechnął się łagodnie i bez słowa skinął głową. Zaraz też ponownie zamknął oczy, jakby otaczająca rzeczywistość przestała go interesować. Dziewczę zaś pobiegło do kuchni.

– Kiedy? – Wójt myślał intensywnie. – Zyrke to chyba piątego dnia drugiego miesiąca...

– Zyrke w święto przesilenia, Kop w wigilię święta Ury, Jato w święto Ury – powiedział Yasa, nie otwierając oczu. – Wczoraj mieliśmy wigilię święta wiosny, a dzisiaj święto wiosny. To stare święta. Pierwotne. Magiczne.

– Skąd wiecie, panie? – zapytał zdumiony Gorde.

Yasa nie odpowiedział, ale wreszcie otworzył oczy i spojrzał na krasnoluda. Sodi nie dopytywał, skąd mag wie. Nie interesowało go to.

– Dzisiaj będzie kolejny? – zapytał cicho.

– Dzisiaj będzie kolejny. – Przytaknął Yasa – Następni dwaj dopiero na wigilię święta zimy i w samo święto. Siódemka Zea.

– Kurwa mać – wyszeptał Sodi.

– No właśnie. – Znowu przytaknął mag.

– Nie rozumiem, panie. – Wójt przyglądał się to jednemu, to drugiemu, rzeczywiście nic nie rozumiejąc.

Yasa nie patrzył na niego. Leniwie wstał od stołu i ruszył w stronę kuchni.

– Panie? Gdzie on idzie? O czym rozmawialiście?

Krasnolud zmarszczył brwi, patrząc za czarodziejem.

– Siódemka Zea to stare zaklęcie przywracające życie – odpowiedział cicho. – Przeklęte przed wiekami. Najgorsze ze złych. Siedem ofiar w siedem świąt. Myślałem, że ten czar umarł setki lat temu. Uczono mnie o nim na zajęciach z prehistorii...

– Ale co to znaczy?

Czarne oczy Yudherthardere wolno spoczęły na pobladłej twarzy pytającego.

– To znaczy, że lepiej byłoby, gdybyście potrafili utrzymać waszych chłopców w domach tej nocy.

\*\*\*

Gulasz pachniał cudownie. Dziewczyna poczuła, jak jej pusty żołądek zaciska się gwałtownie. Mogłaby spróbować odrobinę, ostatecznie karczmarz wyszedł na chwilę... Nie, nie mogła. Stary łajdak miał swoje sposoby i zawsze wiedział, kiedy chciała coś uszczknąć. I nawet za odrobinę tłukł ją do nieprzytomności. Głód przynajmniej nie bolał.

Bogowie, jak to pachniało. Sięgnęła warząchwią do wielkiego gara i zamieszała. Usłyszała, gdy drzwi skrzypnęły. Odwróciła się gwałtownie.

– Ja wcale nie...! – urwała nagle.

Spodziewała się zobaczyć karczmarza. Zamiast niego zobaczyła dwóch młodszych synów wójta.

– Co tu robicie? Zaraz wróci...

– Nikt nie wróci, głupia – przerwał jej pryszczaty rudzielec, pocierając nerwowo dłonie. – Zapłaciliśmy karczmarzowi za ciebie. Szybko nie wróci.

Dziewczyna cofnęła się gwałtownie.

– Jak to zapłaciliście? – wyszeptła.

– Normalnie. Talarami. – Rudzielec bez pryszczy postąpił krok. – Wybraliśmy cię. Powinnaś być dumna.

– Dumna?! – powtórzyła nieco histerycznie, zaciskając dłonie na chochli. Jednocześnie zastanawiała się, czy zdąży osiągnąć jednego z kuchennych noży.

– Dumna. Zrobisz z nas mężczyzn.

Może jej się uda. To nie tak daleko. Nie może im pozwolić. Nie może.

Chłopcy ruszyli ku niej szybko. Rzuciła się do ucieczki. Jeszcze krok, jeszcze...

Starszy złapał ją od tyłu za ramiona i odciągnął od stołu. Nóż się oddalił.

– Zostawcie mnie – szeptała błagalnie. – Nie chcę.

– Nie rycz, głupia. Nikt lepszy ci się nie trafi. – Wciąż trzymając dziewczynę przed sobą, zacisnął palce na jej piersi. Jęknął głucho, a ona poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła. Szarpnęła się. Zacisnął ręce mocniej.

– Pospiesz się, Den – ponaglił młodszego brata. – Tym razem musi się udać. No dalej.

Pryszczaty zawahał się. Tylko na moment. Potem szybko zaczął rozwiązywać spodnie. Ręce mu drżały.

– Połóż ją, przecież nie będę tak na stojąco... – wysapał, ciężko dysząc.

Dziewczyna wciąż się szarpała. Wyrwała rękę i udało się jej podrapać trzymającego ją chłopaka. Ten zaklął i uderzył z całej siły. Głowa dziewczynki odskoczyła, a ona sama zwiotczała i osunęła się na podłogę.

Młodszy, postępując cicho, opuścił spodnie, ukląkł i zaczął podnosić suknię leżącej, kiedy starszy rozrywał materiał na drobnych piersiach.

Naraz obaj zamarli. Podniecenie zastąpił ból. Wszechobecny, straszliwy. Sparaliżował ich. Rozerwał mięśnie, połamał kości, rozerznął skórę. A potem wszystko uleczył. I zaczął od nowa. Próbowali krzyczeć, ale krzyk nie dotarł do warg, zamierając jeszcze w gardłach. Wybałuszali więc tylko oczy, patrząc na półprzytomną dziewczynę, gdyż nie mogli odwrócić głów.

– Zaraz cofnę zakłęcie – odezwał się cichym, łagodnym tonem Yasa. – Albo podkręcę je i zdechniecie z opuszczonymi gaciami na środku tej śmierdzącej kuchni. Jeszcze się zastanawiam.

Podszedł do nich i odepchnął, a że nie władali ciałami, padli na ubitą podłogę po obu stronach niedoszłej ofiary. Mag zaś pochylił się nad leżącą i łagodnie wziął ją na ręce. Była przytomna i cichuteńko płakała. Yasa patrzył na nią przez chwilę, a później, nie wypuszczając dziewczęcia z objęć, ruszył do wyjścia.

– Jeśli kiedykolwiek dotkniecie Likal, albo wy, albo ktoś z wami związany, bez względu na to, gdzie wtedy będę, gdzie wy będziecie, zdechniecie, wrzeszcząc – powiedział miękko, nie patrząc na młodych mężczyzn.

Nim wyszedł z karczmy, cofnął czar i pozwolił im krzyczeć.

\*\*\*

Mrok wychodził z lasu. Jak dzikie zwierzę, przyczajony, jeszcze skłonny do ucieczki, lecz już gotów do ataku. Łasił się do drewnianych ścian domostw, ocierał o fundamenty, ale jeszcze nie władał światem. Słał się dywanem na zieleni traw, uciszał rozmowy, ale musiało minąć trochę czasu, nim przejmie władzę nad kolorami i dźwiękami.

Patrzyła na wioskę, stojąc u wrót lasu. Dzierżyła smycze ciemności, skłonna spuścić ją z nich, gdy przyjdzie odpowiednia chwila. A chwila nadchodziła. Czuła ją. Niczego więcej nie czuła.

Tylko zew śmierci.

\*\*\*

Goście dawno już opuścili gospodę, lecz Sodi nadal siedział przy stole z kubkiem wina w dłoni i kontemplanował dogasające palenisko. Opuszczony przez wójta, gdy ten pobiegł do swoich wrzeszczących w kuchni synalków, krasnolud bynajmniej nie dumał nad losem, a raczej intensywnie rozmyślał, jak wypłatać się z kabały, w którą zaplątała go Krasnoludzka Rada, oddając jego usługi królowej Doliny Serbithów. Liczył na pomoc Yasy, lecz ten najwyraźniej się do niej nie kwapił, zajęty chędożeniem coraz to nowych dziewczek. Zapewne i teraz

zabawiał się z jakąś służką na pięterku gospody, gdzie przygotowano dla nich pokoje.

Tęsknota szarpnęła sercem Sodiego. Będzie już z tydzień, jak i on bawił się w ten sposób... może by tak...

Moc wpełzła ledwie zauważona. Czarna mgła wcisnęła się dziurami w oknach i drzwiach, mrocznym dymem wpłynęła przez komin. Otoczyła Tropiciela niczym żywe stworzenie, gotowe kąsać. Zacisnęła kleszcze czarnej magii i uderzyła.

Tym razem był na nią gotów. Odparł pierwszy atak zaklęciem Zamorskiej Gildii Magów. Otoczył umysł ochronnym murem białych mocy, wyłączył zmysły dane wszystkim żywym istotom i, balansując pomiędzy nimi, uruchomił Tropiciela. Dziki poszukiwacz wyrwał się z głośnym warknięciem, rozbłysnął jaskrawym światłem podświadomości i rzucił się, by odnaleźć Źródło.

Ledwie jednak wyskoczył z krasnoludzkiego umysłu, zawył rozpaczliwie. Mrok zacisnął się niczym imadło, dusząc i raniąc. Powstrzymał Tropiciela jednym potężnym uderzeniem. Sodi nie zdołał się osłonić. Jednocześnie, skupiony na mocy, nie zdołał ochronić ciała. Czarna magia otoczyła je gęstą mazią, wcisnęła się porami skóry i wreszcie zabrała oddech. Pozbawiony powietrza krasnolud zadrżał gwałtownie. Zatrzymał Tropiciela, żeby się ratować, lecz osłabiony nie znalazł sił. Szarpnął raz i drugi. Bezskutecznie. Bezdech rozrywał płuca, męka i strach paraliżowały. Umierał.

– Zostaw!

Płomień światła w jednym momencie spalił mrok. Maż cofnęła się, raniona pierwotną mocą.

– Zostaw! Już!!! – powtórzył Yasa. Czarne oczy maga błyszczały. Rozłożył ramiona, a potem z całej siły klaśnął. Tylko raz. Mrok zniknął.

Sodi, charcząc, łapał oddech. Łzy płynęły po rumianych policzkach i ginęły w kędzierzawej brodzie.

– Ożeż kurwa, co to było? – wysapał wreszcie.

– Nie zorientowaliście się? – Yasa uśmiechnął się ponuro.

Krasnolud spojrział na niego urażony.

– Najpierw myślałem, że to Czar Powrotnej Fali, ale za potężny był, jakiś taki...

– Splotła go.

– Ona?

– Ona. Splotła z Siedem Zea.

– Ale coś takiego... Coś takiego tylko wprawny czarodziej może uczynić. Toż to szósty krąg... przynajmniej. No i Siedem Zea... myślałem, że to legenda.

– Jak widzicie, nie.

– Wiecie, kto to zrobił?

Mag skinął głową.

– Powiem wam w drodze – odpowiedział, idąc do drzwi.

– W drodze? Znaczący...?

– Tak. Piąty Zea właśnie wyszedł z domu.

\*\*\*

Las gęstniał. Młodzieniec przedzierał się w kompletnej ciemności. Śpiewała mu słodka pieśń, ciemność nie była straszna. Szedł z zamkniętymi oczami, uśmiechnię-

ty i rozradowany. Potykał się, przewracał, lecz wstawał. Nie czuł bólu, kiedy gałęzie cięły mu skórę, ani gdy krew z drobnych ranek mieszała się z kroplami potu. Nie czuł zmęczenia. Wiodło go przeznaczenie. Czekala nagroda.

Naraz drzewa się rozstały, zapraszając na małą polanę. Pieśń urwała się. Nastala cisza. Mężczyzna, obudzony ze zwodniczego snu na jawie, zamrugał szybko, a potem powoli otworzył oczy. Na polanie było jasno. Nie jak w dzień, raczej jak w gospodzie, gdy płonęły wszystkie kaganki. Rozejrzał się zaniepokojony.

W chwili gdy zrozumiał, gdzie jest i co to może oznaczać, w momencie gdy strach zmienił się w szalone przerażenie, spomiędzy drzew wyszła kobieta. Naga i doskonała. Uśmiechała się do niego. Czule, uwodzicielsko. Bardzo chciał myśleć o ucieczce, bardzo chciał zawrócić i wracać do domu. Ale pieśń znów śpiewała pełnymi wargami nagiej kobiety. Musiał pozostać. Musiał iść... Zrobił krok, a potem drugi. Gdyby choć przez chwilę był w stanie myśleć, zapewne rozpoznałby uwodzicielkę, a przynajmniej zauważył pewne podobieństwo... gdyby był w stanie.

Jednocześnie pieśń ponownie ucichła i spomiędzy krzaków wyskoczył zziębnięty krasnolud. Kobieta spojrzała na intruza. Wściekłość wykrzywiła piękną twarz.

– Uciekaj! – wrzeszczał Sodi.

Chłopak nie słuchał. Mimo że pieśń umilkła, czar trwał, a on, chociaż świadom, nie mógł nawet drgnąć.

– Uciekaj, do jasnej...! – Krasnolud zamilkł, zatrzymując się. Doskonałe nagie ciało gwałtownie napęczniało. Coś w jego wnętrzu, coś strasznego, błyskawicznie roz-



szarpywało je od środka, warcząc. I rozerwało. Krwawe ochłapy zasłały całą polanę. Monstrualna czarna wilczyca otrzepała się, warknęła nisko, gardłowo, niemal radośnie, i zaatakowała chłopaka. Wbiła potężne zęby w jego podbrzusze i szarpnęła. Młodzieniec wrzasnął nieludzko.

Krasnolud drgnął. Wyrwał zza paska oba topory, zamachnął się i rzucił. Ostrza trafiły w grzbiet zwierzęcia. Drapieźnik zawył boleśnie i puścił ofiarę. Rzucił się na ziemię i przetoczył, wyszarpując z pleców krasnoludzką broń. Potrzęsnał głową, odwrócił się i ruszył ku napastnikowi. Sodi odskoczył i rzucił się do ucieczki. Bestia, wyjąc nieustannie, ruszyła za nim.

W tym momencie na polanie pojawił się Yasa. Wszedł niespiesznie, leniwym krokiem. Obojętnie minął jęczącą ofiarę wilczycy. Chłopak złapał nogawkę maga, ale ten wyrwał się. Nie spuszczał przy tym wzroku z bestii i uciekającego przed nią krasnoluda. Kiedy potężna łapa dosięgła Sodiego, rzucając go na ziemię, mag zatrzymał się i gwizdnał. Cichy, ledwie słyszalny wizg sprawił, że drapieźnik również stanął. Warknął, szukając źródła dźwięku. Spojrzenia maga i wilczycy spotkały się. Oboje obnażyli zęby w parodii uśmiechu. Stwór skoczył.

Sodi wstał i ruszył za bestią, szarżującą na Pierwotnego. Biegnać, złapał leżące na ziemi toporki. Zamachnął się i posłał jeden z nich za stworem. Znowu celnie. Trysnęła krew. Wilczyca warknęła, ale nie zwolniła.

– Stój, mała – szepnął Yasa. Drapieźnik mruknął przeciągle. Nie posłuchał. Pierwotny zmrużył oczy i uderzył. Pierwsza fala mocy nie zatrzymała stwora. Raniony zawył wysoko, przenikliwie. Rozwarł szczęki, obnażył kły.

Sodi, widząc, że nie dobiegnie, rzucił drugim toporkiem. Tym razem jednak chybił. Wilczyca odbiła się od ziemi. Yasa próbował odskoczyć, ale zwierzę wpadło na niego bokiem, zbijając z nóg. Przetoczyli się po ziemi. Mag szarpnął, ale bestia przygniotła go, unieruchamiając. Ogromny, ociekający krwią i śliną pysk muskał twarz maga.

Krasnolud dopadł wilczycę i wyszarpnął toporek, który tkwił w jej grzbiecie. Ból odwrócił uwagę stworzenia od czarodzieja. Pierwotny wykorzystał to, by zacisnąć palce na czarnej sierści i wypowiedzieć zaklęcie. Tym razem, wzmocniony dotykiem, pierwotny czar zadziałał. Wilczyca zamarła na chwilę, a potem zadrżała, wyjąc rozpaczliwie. Mag szeptał dalej. Kolejne uderzenie pozbawiło bestię tchu, sprawiło ból, niemal sparaliżowało. Uniosła się nieporadnie na drżących łapach, a potem cofnęła, piszcząc niczym zraniony psiak. Yasa wstał powoli, nieustannie szepcząc zaklęcia. Wilczyca próbowała jeszcze raz doskoczyć do czarodzieja. Uniosła fafle i wyszczerzyła potężne kły, ale wtedy zaklęcie znów nabrało mocy i sprawiło zwierzęciu ból. Wreszcie stwór poddał się. Podkulił ogon i piszcząc uciekł do lasu.

– Kurwa – sapnął Sodi, patrząc na drzewa, między którymi znikła bestia.

Yasa w milczeniu pokiwał głową.

– Na coście czekali, ha? – Krasnolud spojrzał na niego. – Chcieliście za uszkami pannę popieścić czy jak? Zaś musiałem wam dupę ratować. Trza było od razu trzepnąć mocą, żeby kły toto pogubiło, a nie w uściski iść. Lubicie takie kudłate czy jak?

Mag spojrział na towarzysza i wzruszył ramionami.

– A tak trza będzie wiedźmy szukać... – kontynuował rozeźlony Yudherthardere.

– Nikt nie będzie jej szukał.

– Znaczy jak? – Zaskoczony krasnolud zajrzał w oczy czarodzieja. Naraz zrozumiał i niechętnie pokiwał głową. – Ano, macie rację. Niech se żyje. Co nam do tego.

Yasa już nie słuchał. Podszedł do leżącego. Chłopak jeszcze żył, chociaż był nieprzytomny.

– Kurwa, to pierworodny wójta – wyszeptał Sodi, pochylając się nad ofiarą wilczycy. Bardzo starał się przy tym nie patrzeć na krwawą masę poniżej paska ofiary. – Wykrwawia się.

Czarodziej patrzył bez słowa, nawet nie drgnąwszy.

– Panie Yasa? Nic nie zrobicie?

Mężczyzna spojrział na niego przeciągle. Obaj wiedzieli, o czym myśli.

– Musimy go uratować – powiedział Yudherthardere.

Yasa skinął głową. Pochylił się i dotknął leżącego. W jednym momencie krew przestała wypływać z ran, a te zaczęły się goić.

– Święta Ury – westchnął krasnolud, nadal nie patrząc na okaleczonego chłopaka. – Wiem, że to gnojek, ale, kurwa, co to za życie...

\*\*\*

Kiedy Yasa wrócił do izby, dziewczyna nie spała. Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę na łożu,

w którym czarodziej ją zostawił. Spojrzała płochliwie na wchodzącego, a w szafirowych tęczęwkach strach walczył z ulgą.

– Zabiłeś ją, panie? – zapytała, gdy zamykał drzwi.

Podszedł do łóżka i usiadł na brzegu.

– Nie da się zabić tego, co już nie żyje. Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową.

– Nie chciałam tego, ale oni zasłużyli.

Łagodnie odsunął włosy z jej wymizerowanej twarzy.

– Opowiesz mi?

– Przecież już wiecie, czytaliście mnie, prawda? Wtedy, gdy przyniosłam wino, kiedy mnie dotknęliście...

– Nie musiałem cię dotykać, Likal, żeby odczytać twoje myśli.

Ponownie pokiwała głową.

– Tak, rzeczywiście.

Przez chwilę milczeli.

– Co ze mną zrobicie? – zapytała wreszcie.

Nie odpowiedział. Wstał i podszedł do okna.

– Jak ci się udało połączyć dwa tak trudne zaklęcia, Likal? – zapytał cicho. – Nie jesteś tak potężną czarownicą. Gdybyś była, nie potrzebowałabyś mnie tam, w kuchni.

Wzdrygnęła się.

– Nie jestem. Gdybym była... – głos dziewczyny stwardniał – ale nie jestem. Nona powiedziała mi, co mam zrobić. Była jedyną osobą, która mnie kochała. Powiedziała mi, co robić, kiedy konała na moich kolanach. Nie widziałeś jej wtedy, panie. Gdybyś widział... zasłużyli sobie. Męczyli ją tak długo... tak długo, panie.

I zostawili jak ochłap mięsa, bo myśleli, że już umarła. Zasłużyli na śmierć.

Wrócił do łoża i ponownie usiadł. Długo, w milczeniu przyglądał się rysom młodej kobiety, czytał jej myśli, słuchał wspomnień. Zobaczył obrazy, których widzieć wcale nie chciał.

– Zasłużyli na śmierć, Likal – powiedział wreszcie. – Spróbuj zasnąć. Jutro wracamy do stolicy. Pojedziesz z nami.

Szafiry rozbliły i zaraz zgasły.

– Oddacie mnie katom?

Uśmiechnął się miękko.

– Dlaczego miałbym oddawać katom moją podopieczną?

– Panie?!

– Śpij, Likal. Wrócę później. Wejście jest zapieczętowane magią. Tylko ja mogę wejść i wyjść. Jesteś tu bezpieczna.

Wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

\*\*\*

W domu wójta płonęły wszystkie światła i nawet na zewnątrz słyhać było krzyki i lamenty tak kobiet, jak i samego gospodarza. Krasnolud i mag weszli bez pukania, bo nikt by go nie usłyszał. Donośne wrzaski Gordego zagłuszały wszystko inne. Przy wejściu natknęli się na obu młodszych synów wójta, a ci, widząc Yasę, czmychnęli przerażeni.

– Zdaje się, że robicie piorunujące wrażenie na tutejszej młodzieży – powiedział z przekąsem Sodi.

Mag nawet się nie uśmiechnął. Czekał.

Wójt wybiegł z izby, trzaskając drzwiami, i właśnie wtedy dojrzał gości.

– Wy!!! – wrzasnął, rzucając się ku nim.

Tęczówki Yasy rozbłysły i grubas zamarł w pół kroku z rozwartymi ustami, z których jednak nie wydobył się żaden dźwięk.

– Od razu widać, po kim synkowie mają charakterki, prawda, panie Yasa? – uśmiechnął się złośliwie krasnolud. – Jak się grzecznie przymkniecie i dacie nam dojść do słowa, to może i szanowny Pierwotny Mag zechce zaklęcie nieco uchylić. To jak będzie?

Mężczyzna nie wydawał się uspokojony, więc nic nie zmieniło się w kwestii zaklęcia.

– Nie chcecie, trudno się mówi – wyszczerzył się Yudherthardere, podchodząc do gospodarza. – Więc sprawy się mają następująco: wasz synalek i jego czterech koleżków zgwałciło i zamordowało młodą czarownicę. Ta, zamiast się bronić, spreparowała wiązanekę zaklęć, dzięki którym miała wrócić do życia. Wiadomo, że ożywiona czarownica jest znacznie potężniejsza. Połączyła więc Zaklęcie Powracającej Fali, czyli, prosto rzecz mówiąc, czar zemsty, z zaklęciem Siedmiu Zea. Podejrzewam, że prócz waszego pierworodnego i dwaj młodszy brali udział w owej zabawie, stąd się czarownicy siódemka wzięła. Zostało jej tylko wymordować całą gromadkę. Jako że Powracająca Fala nie tylko dała jej

magię przyzwania, ale jeszcze połączyła ją z wyjątkowo wredną wilczycą, nie było to specjalnie trudne.

Uśmiechnął się brzydko i poklepał zastygłego wójta.

– Mielibyście tu niezłą rzeź, gdybyśmy nie przybyli i czarownicy nie przeszkodzili. Jakby się dziewczyna rozkręciła, to nawet dzieciaki by nie ocalały. Nie żebym was specjalnie żałował. Macie tu zwyczaj krzywdzenia i wykorzystywania słabszych od siebie, a gdzie się nie rozejrzeć, gwałcicie z fujarkami na wierzchu łążą. No, chyba że akurat jakaś wilczyca je obezre. – Wyszczerył się jeszcze mocniej, widząc mord w oczach grubasa. – W każdym razie... co ja chciałem... a tak, rzecz w tym, że czarownica oba zaklęcia związała ze sobą. Skoro zaś my przerwaliśmy Siedem Zea, bośmy waszego gówniarza uratowali, to i drugie już wam nie grozi. Tak się mnie zdaje, ale wiecie, jak bywa... Na waszym miejscu trochę bym porządków we wsi wprowadził, bo kto wie, czy któregoś wieczora wilczyca z lasu nie wylezie, żeby ośobiście się tym zająć. – Zawiesił głos, pozwalając Gorde-mu zastanowić się nad wypowiedzianym ostrzeżeniem. – Na razie jednak czarownica odeszła, a i zemsta jej już skończona. Tak jak i nasza robota. Rankiem wyjeżdżamy.

Odwrócił się i podszedł do milczącego maga. Porozumieli się bez słów.

– Ach, bym zapomniał – mówił dalej krasnolud, nie patrząc na wójta – Widzę, że z niewiadomych powodów to nas chcecie winić za... powiedzmy... całkowite obrzezanie waszego pierworodnego. Postarajcie się zmienić zdanie. – Odwrócił się i z lodowatym błyskiem

w krasnoludzkich oczach skończył: – Albo może nie zmieniajcie. Taaak, stanowczo nie zmieniajcie.

Dopiero, gdy wyszli, Gorde odzyskał władzę nad ciałem. Zamrugał, odetchnął głęboko i wrócił do rannego syna. Było coś w spojrzeniu krasnoluda i w obojętnej twarzy maga... Coś, co sprawiło, że jednak zmienił zdanie.

\*\*\*

Krasnolud roztarł ramiona. Było zimno, cholernie zimno, a wilczyca podarła mu wczoraj kurtkę. Wiatr tańczył w dziurach drogiej materii, wbijał się pod koszulę i szczypał ciało. Było zimno, a przed nimi długa droga.

– Kurwa – wymamrotał, przyspieszając pocieranie, co i tak niczego nie zmieniło.

Za jego plecami skrzypnęły drzwi, a z gospody wyszli Yasa i Likal. Mag niósł tobolek dziewczyny, a ona wpa-trywała się w niego z uwielbieniem.

– Długo tak mam czekać? – warknął krasnolud. – Zimno jak cholera.

Likal zerknęła na niego przeprasząco.

– Pakowałam się, przepraszam.

– Dobra, już dobra. Jedźmy. Dupa mi zamarznie jak nic.

Dosiadł swojego kuca, nie patrząc na pozostałych.

– Poczekajcie, panie! – zatrzymała go dziewczyna. – Mam coś, co się nada. Może i kolor nie taki, ale cieplej wam będzie. – Sięgnęła do tobołka i wyciągnęła z niego



długą pelerynę z kapturem. – Ogrzeje was... Po babce mi została.

– Bierzcie, Yudherthardere. Ciepło wam będzie – przytaknął rozbawiony Yasa.

A potem narzucił na ramiona wściekłego krasnoluda śliczną czerwoną pelerynę.

## ***Podziękowania***

Bardzo wiele osób przyczyniło się do powstania historii Sodiego. Najbardziej jednak pragnę podziękować Michałowi Rybińskiemu, Oli Buczek-Stachowskiej, Sylwii Finklińskiej, Gosi Banasiewicz, Kubie Sasowi i oczywiście mojej Rodzince.

Bez nich zapewne też dałabym radę, ale byłoby i trudniej i mniej zabawnie.

Tropiciel  
Copyright © Małgorzata Lisińska  
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations  
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak  
Copyright © for the cover art by Robert Rajszczyk  
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-125-3  
epub ISBN 978-83-7995-126-0  
mobi ISBN 978-83-7995-127-7

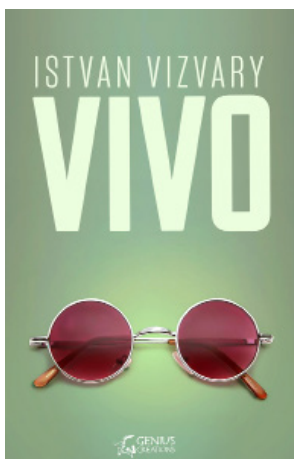
Redakcja: Marcin Jamiołkowski  
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot  
Ilustracja i projekt okładki: Robert Rajszczyk  
Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | [www.proAutor.pl](http://www.proAutor.pl)  
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak  
ul. Kormoranów 126/31  
85-453 Bydgoszcz  
[sekretariat@geniuscreations.pl](mailto:sekretariat@geniuscreations.pl)  
[www.geniuscreations.pl](http://www.geniuscreations.pl)

Książka najtaniej dostępna w księgarniach  
[www.MadBooks.pl](http://www.MadBooks.pl)  
[www.eBook.MadBooks.pl](http://www.eBook.MadBooks.pl)





## VIVO ISTVAN VIZVARY

John Lennon ma sto dwadzieścia lat i komponuje piosenki wyłącznie dla bogatej, pięknej i szaleńczo w nim zakochanej kobiety. Alfred Ulver, psychiatra hochsztapler, utrzymuje się głównie z pracy swojego cyfrowego kłona i sesji coachingowych. Lizę Trommer, skromną krawcową, odwiedza w domu dawno zmarły ojciec, który uciekł z Forever, wirtualnego świata spokojnej starości.

Alskopp, dumny i potężny król smoków Drumloftu, wydał ostatnie tchnienie na londyńskiej Tottenham Court Road. Uderzenie skrzydeł motyla może zmienić losy świata. Upadek smoka zmienia, i to diametralnie! Rzeczywistość i światy wirtualne okazują się być połączone znacznie ściślej, niż się to dotąd wydawało i nie są tym, za co je uważano.

Co jest prawdziwe, a co urojone? Kim jesteśmy, a kogo jedynie odgrywamy? Czy śmierć jest ostateczną granicą, a jeśli tak, to kto mieszka za nią?

*„Na pierwszym poziomie zanurzenia „Vivo” jest trzymającą w napięciu i dowcipną powieścią przygodową. Na drugim poziomie zanurzenia otrzymacie inteligentne science-fiction, stawiające pytania o odpowiedzialność człowieka względem światów, które sam stworzył. Na kolejnym poziomie zanurzenia... musicie się zastanowić, czy macie odwagę zejść tak głęboko.” – Katarzyna Rupiewicz, autorka „Redlum”*

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/vivo-istvan-vizvary/>



## PĘTLE PAMIĘCI MARCIN KOWALCZYK

Vermil Olson pragnie zostać pisarzem. Niestety, nie ma ani odrobiny talentu. Korzysta więc ze zlepiacza narracyjnego: urządzenia, które potrafi wydestylować fabułę wprost z mózgu „autora”. Szybko okazuje się jednak, że jego pisanie to coś więcej niż tylko zaspokojenie potrzeby tworzenia. W powstającej powieści podświadomość Vermila ukrywa bowiem informacje, które mogą uratować mu życie.

„Pętle pamięci” łączą klasyczne fantasy z science fiction, tworząc zaskakujący koktajl sensów i reinterpretacji, prowadzący do niespodziewanego finału.

*Pasja i twórczość często idą w parze. Jak w tańcu. Ważne jednak, by nie zmylić kroku, podążać za muzyką słów. Marcin Kowalczyk z pewnością ma i talent, i pasję, które doskonale ze sobą współgrają. „Pętle pamięci” to książka pełna niespodzianek. Lekki styl, humor i wciągająca historia sprawiają, że po tę powieść naprawdę warto sięgnąć. – Ahsan Ridha Hassan, autor „Trupojada i dziewczyny” i współautor (z Januszem L. Wiśniewskim) „Eksplozji”*

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/petle-pamieci-marcin-kowalczyk/>



## TROPICIEL MAŁGORZATA LISIŃSKA

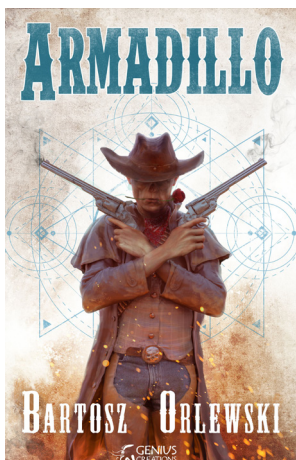
Sodi Yudherthardere, dla przyjaciół i ludzi z problemami wymowy po prostu Sodi, to krasnoludzki Tropiciel ze słabością do kobiet, alkoholu, złota, bijatyk i magii (dosłowną). U boku Yasy (najpotężniejszego żyjącego maga) i Likal (seksownej, potężnej i kompletnie nim niezainteresowanej uczennicy maga) wyrusza w podróż po Krainie, a w drodze przeważnie cierpi na migrenę. Niczym bohaterowie bajek, tylko zupełnie inaczej, ta trójka stawia czoła wyzwaniom godnym herosów.

Książka dla czytelnika dorosłego lub posiadającego certyfikat znajomości łaciny podwórkowej!

*„Mistrz Haxerlin i Thuz z miejsca polubili Sodiego. Idealny towarzysz podróży, bazarz, mitoman i drań w ich stylu!”* – **Jacek Wróbel**, autor serii „Haxerlin”

I TOM BAJEK KRASNOLUDÓW

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/tropiciel-malgorzata-lisinska/>



## ARMADILLO BARTOSZ ORLEWSKI

Do Armadillo przyjechali tak jak przysłało na Dzikim Zachodzie: w samo południe, z rewolwerami w dłoniach, by obrabować bank. Niestety, nic nie poszło zgodnie z planem. Zginęli, a miasteczko zostało przeklęte. Dla czterech z nich był to prawdziwy koniec, ale dla Toma dopiero początek.

Sto lat później klątwa zaczyna słabnąć, a Tom, strażnik Armadillo, wreszcie poznaje prawdę o tajemniczym magu-bankierze, odpowiedzialnym za

śmierć przyjaciół i jego własny parszywy los.

Jednak w Armadillo prawda nie wyzwala, nie uszlachetnia... zmienia jedynie kajdany na okowy i z deszczu lądujesz prosto w gównoburzy!

Witajcie w Armadillo!

*„Western, horror, groteska i bohater z ogniem zamiast oczu... Książka Bartosza Orlewskiego to pozycja dla tych, którzy lubią szaleńczy slalom między literackimi gatunkami, w stylu jak najbardziej dowolnym.” – Dawid Kain, autor powieści „Kotku, jestem w ogniu” i „Fobia”*

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/armadillo-bartosz-orlewski/>

MARCIN A. GUZEK



**KOMANDORIA 54**  
SZARE PŁASZCZE

## KOMANDORIA 54 MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i nieoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

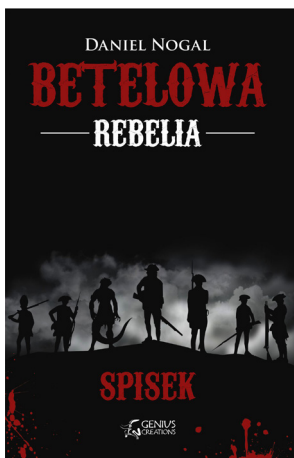
Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a nieoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgliszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

*„Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie.” - Jacek Łukawski, autor „Krew i stal” i „Grom i szkwał”*

### PIERWSZY TOM SZARYCH PŁASZCZY

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/szare-plaszcz-komandoria-54-marcin-a-guzek/>





## BETEŁOWA REBELIA: SPISEK DANIEL NOGAL

W Betełii, leżącej na krańcu świata tropikalnej kolonii, ścierają się interesy dwóch mocarstw: Regalium i Septium. W ich cieniu rozgrywa się prawdziwa walka pomiędzy zupełnie nowymi graczami: wszechwładnym Bankiem Rotów i tajemniczą Lożą Mechanistów. Napiętą sytuację komplikuje antykrólewska rebelia, wzniecona przez szlachetnych idealistów, dążących do wyzwolenia kolonii spod imperialnej władzy Regalium.

W „betełową rebelię” zaangażuje się, ku własnemu zdziwieniu, nałogowy hazardzista Angus, odważna dziennikarka Marta Brus i wielu innych. Będzie wśród nich szalony profesor Fergus, badający zwyczajnie nagów, gadzich mieszkańców Betełii. Tłem dla losów rewolucji okażą się podróże przez malowniczą dżunglę, zapomniane świątynie, niezwykle wynalazki, pirackie zamki na rajskiej Tygryskiej Wyspie... Betełia stanie w ogniu! Jaki będzie los rebeliantów?

*„Porządne, awanturnicze fantasy. Jest tu bunt i spisek, są walki i pościgi oraz twardzi bohaterowie. Nogal stworzył wciągający świat, a to dopiero początek serii!”* – **Marcin Jamiołkowski**, autor serii „Herbert Kruk”

### I TOM SERII BETEŁOWA REBELIA

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/betelowa-rebelia-spisek-daniel-nogal/>



## MALAJSKI EXCALIBUR DANIEL NOGAL

Kuala Lumpur, nieodległa przyszłość. Trwa zimna wojna pomiędzy globalnymi potęgami, czyli Chinami i światem arabskim, stolica Malezji stanowi zaś jedną z głównych aren konfliktu. Owain Llewelyn, specjalista od zdobywania trudno dostępnych informacji, otrzymuje nietypowe zadanie: ma odnaleźć Taming Sari, legendarny malajski artefakt. Przyjmując zlecenie, wplątuje się w grę, w której chodzi już jednak o coś więcej, znacznie więcej, niż tylko o zdobycie pamiątkowego

ostrza.

Na planszy pojawiają się kolejni gracze: chiński i kuwejski wywiad, nigeryjskie i hinduskie gangi, triada oraz tajne stowarzyszenie, które od dawna nie powinno istnieć. Giną ludzie, odżywiają uspioone konflikty, w wieloletnim malezyjskim kotle zaczyna wrzeć. A to przecież dopiero początek.

<https://geniuscreations.pl/ksiazki/malajski-excalibur-daniel-nogal/>